Nr. 12. We Lwowie dnia 25. marca 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z domu niewoli.

CYKL PIEŚNI.

Czemu?

Czemu wy się oskarżacie,
Że już w sobie sił nie macie?
Że was pożarł mogił pył,
Stygną tętna waszych żył.

Czemu wy się oskarżacie,
Że brak chleba u was w chacie?
Wstańcie raniej — ostrzyć pług —
Będzie żniwo, zboża stóg!

Czemu wy tak narzekacie,
Że za mało światła macie?
Tylko wyżej wznieście wzrok:
Żądza światła zwalczy mrok.

Czemu wy tak narzekacie,
Że nadzieji już nie macie?
Po nadzieję, bracie, zstąp
W twego ducha czystą głąb.

O, ludzie moi zgnębieni,
Bądźcie silni, pocieszeni:
W sercach waszych właśnie tli,
Przyszłe słońce lepszych dni.

Z piersi zrzućcie zniechęcenie,
Wypłoszcie te z myśli cienie,
Z martwych, beznadziejnych brył
Wstańcie hufcem pełnym sił!

Wszak dłoń wasza jeszcze ciepła,
I praojców krew nie skrzepła:
Naprzód — marsz! niech złamie żal
Nieugięta ducha stal!

Szczęsna.

Twórca odrodzenia czeskiego
w sprawie polskiej.

(Na podstawie listów Józefa Jungmanna do Antoniego Marka, ogłoszonych w „Czasopiśmie Muzeum czeskiego“ 1881—1883 i 1886 r.).

Nie można wprawdzie powiedzieć z łacinnikiem o wspomnieniach, które wskrzeszam, by miłemi były *(et hoc meminisse juvabit)*, lecz na postęp składają się zarówno błędy, jak cnoty i zdobycze nauki. Poznajmy pierwsze, by ich unikać i zarazem znaleść drogę, jaką podążać należy nadal, a już to będzie ważnym krokiem — jak w tym wypadku — do porozumienia między dwoma szczepami bratnimi, które zaślepienie doprowadza obustronnie do sprzeniewierzenia się własnym ideom. Od Jowisza zaczynał starożytny — od głowy grona, które stworzyło to, co zwiemy odrodzeniem czeskiem, zacząć wypada szkice te, które prowadzić dalej w tym kierunku jest mojem najgorętszem życzeniem, o ile mu pomogą do ziszczenia materjały listowe, jako zawierające najbardziej wolne od względów ubocznych sądy patrjotów i uczonych czeskich o sprawie polskiej.

* * *

Spory kawał czasu żył Józef Jungmann i to czasu, pełnego chwil to podniosłych i podnoszących umysły, to znów tragicznych i deprymujących — szczególnie w dziejach naszych. Urodzony bowiem w rok po pierwszym rozbiorze Polski (1773), mógł jeszcze patrzyć na przykrwawą zorzę roku 1846, poprzedzającą słońce wolności 1848 r., którego mu śmierć oglądać nie dozwoliła. Umarł 16. listopada 1847. Wiek zatem dojrzały tego czeskiego Lindego i Bentkowskiego w jednej osobie przypadł na okres napoleoński, chwilę narodzin idei narodowościowej i wielkich porywów, które wszystkich innych prowadziły do upragnionego celu — nam tylko coraz boleśniejsze przynosiły zawody.

Dziwnym trafem i dochowana korespondencja wskrzesiciela piśmiennictwa czeskiego z wiernym jego przyjacielem, dziekanem libuńskim, Antonim Markiem, zaczyna się właśnie około tego czasu, bo z rokiem 1807, kiedy Jungmann pędził dni niewesołe jako nauczyciel gimnazjalny w Litomyślu. Już wtedy miał samotnik litomyski w sprawach, będących na porządku dziennym wówczas, sąd, którego zasadniczo później nawet nie zmienił, bo na to nie pozwoliła apriorystyczność jego podstaw. Podstawami zaś temi, to wiara w Rosję, podsycana wypadkami, sielankowe marzenia o »wielkiej rzeszy słowiańskiej« i rojenia filologiczne o zlaniu się »narzeczy« słowiańskich w jedno.

Najtreściwiej swoje »Wierzę« wyraził Jungmann w liście z d. 9. lutego 1810, gdzie czytamy: »Wierzę silnie, że potęga rosyjska przetrwa francuską (z którą się wówczas mierzyła), a dla nas Słowian, musi to być pocieszającem, gdy wszystkie narzecza słowiańskie złączą się w jedno. My od Rosjan, Rosjanie od nas przyjmą wydoskonalenie języka. Co zatem piszemy po czesku, piszemy już dla onej wielkiej rzeszy słowiańskiej«.

Myśl tę chciał czeski uczony wypowiedzieć też publicznie w czasopiśmie »Hlasatel«. które wydawał J. Nejedly w Pradze (1806—1818), ale uznał za lepsze »zachowanie na razie milczenia«. Prawda, że milczenie doradzał wzgląd na cenzurę, ale też szkoda, bo wskutek tego poglądy podobne do powyższego, t. zw. zgubne utopje, usunęły się z pod światła trzeźwej krytyki publicznej, by w cieniu poufnych rozmów i listów tem silniej zakorzenić się w umysłach, pozostających pod wpływem wielkiego uczonego, ale słabego polityka, do tego stopnia, że dziś jeszcze wielka część społeczeństwa czeskiego ocenia sprawy słowiańskie z fałszywego punktu widzenia, wpatrzona, jak w tęczę, w złudną zorzę północy. Fałszywe to stanowisko źródłem jest wszech nieporozumień czesko-polskich, które dziś doprowadziło do otwartej walki na gruncie śląskim, samo wzajem biorąc początek z Jungmanna.

Jak bowiem zachowuje się czeski patrjota, skarżący się niezliczone razy na ucisk niemiecki we własnej ojczyźnie, wobec usiłowań legjonów wskrzeszenia Polski? Oto wita wprawdzie fakt »opanowania całej Polski przez warszawskich«, które według niego miało nastapić przy pomocy Rosji (!?), okrzykiem: »Nasza sprawa zbliża się ku końcowi... wyjdzie feniks z popiołu?« (list z 20 czerwca 1809), cieszy się, że »znów cząstka Słowian oswobadza się z jarzma niemieckiego« (5 grudnia t. r.), że dla Polaków, jak słychać, zbliża się rychłe wykupienie z niewoli« (5. lipca 1810), ale na oswobodzenie Polski patrzy tylko jako na początek dalszych aktów podobnych, spotkać mających Czechy, Morawę, Serbję i t. d. poto tylko, by te się zlały następnie w urojoną rzeszę słowiańską. To też, gdy rok 1811 przynosi ze sobą zapowiedź wojny Napoleona »przeciw braciom Rosjanom«, biada na to Jungmann, ciesząc się tą myślą jedynie, że »w każdym razie jedna strona słowiańska zwycięży, bo albo polska monarchja zakwitnie w całości pod rządami Józefa Napoleona, alboteż — c o b y m o ż e l e p i e j b y ł o — Rosjanie zaleją połowę Europy i większą jeszcze część Słowian zespolą i złączą; naszym oprawcom (dodaje) ma się dostać Śląsk, natomiat Polska ma im być odebraną...« (list z 10. sierpnia 1811). Nieco łaskawiej dla Polaków usposobionym widzimy czeskiego uczonego w liście noworocznym (30. grudnia t. r.), w którym, przypuszczając przegranę Rosji, podnosi, że w takim razie »przynajmniej Polacy porosną w siłę, a tamci (Rosjanie) nie poniosą przez to szkody«. Podobnie wyraża się

jeszcze pod dniem 16. sierpnia 1812: »Polakom może zakwitnie nowe państwo i tak, czego ubędzie jednym Słowianom, tego przybędzie drugim«. Ale i ta względna wyrozumiałość wobec wysileń polskich znika, by ustąpić miejsca elegijnemu żalowi nad losem zwyciężonych, z chwilą, gdy coraz pewniejszą staje się rzeczą, że Rosja nie ulegnie, owszem »powiększy się« — naturalnie kosztem Polski, której synów żałuje Jungmann z powodu, »że tak drogo kupili sobie poddaństwo!« (2. stycznia 1813). Lecz żal ideologa krótki, bo łatwo mu się pocieszyć myślą, o której w chwili groźnej dla Rosji zapomniał był, mianowicie, że »będzie to (podbicie Polski) krokiem do następnego złączenia Słowian!« Na razie jednak trzeba się — jak dodaje sam (28. lutego t. r.) — zadowolić tem, że Rosja nie upadnie.

Dok. n. *Dr. Fr. Krczek.*

Ideał panny Julji.

W gabinecie profesora cisza panowała zupełna. Przez spuszczone rolety słońce południowe kładło na lśniącą posadzkę długie pasma przyćmionego światła, ożywiając poważne, cokolwiek posępne wnętrze gabinetu. Od wykwintnego obicia ścian gustownie odbijały ciężkie, czarnopąsowym aksamitem kryte meble; całą długość bocznej ściany zajęła bogato inkrustowana czarna szafa; za jej szybami widniały ściśle ustawione grube tomy, szklane słoje i stosy skrzyneczek, zapełnionych okazami świata organicznego. Na kominku, przysłoniętym rzeźbioną kratą, staroświecki bronzowy zegar dźwięcznym rytmem wydzwaniał minuty. Byłby to może jedyny odgłos, gdyby od czasu do czasu nie dawał się słyszeć szmer przewracanej karty lub skrzyp pióra, szybko przesuwanego po papierze. Profesor pracował. Na jego obszernem biurku mieściły się całe stosy rękopisów, broszur, gazet. Otwarta księga leżała na boku; zaglądał do niej co chwila i starannie notował coś w grubym zeszycie. Mikroskop, lupa, ważki, szczypce i nożyki wielką grupą zajmowały drugi kąt biurka; dwa uschłe barwne motyle, umieszczone na wysokich pręcikach, zdawały się bujać swawolnie wśród poważnego świata nauki.

Niezmącona cisza dobrze usposabia do pracy. Wielkie natężenie myśli odbijało od twarzy piszącego, znacząc się głęboką bruzdą na wysokiem czole. Młoda to jeszcze była twarz, ale nosiła już wyraz zmęczenia, podkreślający się niejako głębokiem, rozmarzonem trochę spojrzeniem. Ani delikatne ręce, ani szczupłość figury, ani wreszcie wykwintne ruchy nie zdradzały jego pochodzenia; zdawało się, że urodził się i wyrósł w pieszczonej atmosferze zbytku i zajęć umysłowych. A jednak krążyły wieści, że pochodził z ubogiego mieszczaństwa, że całe dzieciństwo chodził boso, nieraz głodny i bity. Jedynie zdolności przyrodzone, a bardziej może systematyczna, nieprzerwana praca postawiła go na dzisiejszym stopniu i w dzisiejszem otoczeniu. Dodawano jeszcze, że stanowczą a potężną dźwignią był posag żony, który od razu dał mu możność rozwinąć prace, uzupełnić je podróżami i pozwolić na wszelkie eksperymenta, bez oglądania się na materjalną ich podstawę. Bądź co bądź, sławy niezmordowanego i użytecznego pracownika nikt mu odmówić nie śmiał. Przed paru laty obszerna jego praca nad organizmami jestestw ziemnowodnych zwróciła uwagę uczonego świata; wkrótce potem otrzymał wezwanie na wakującą posadę uniwersytetu X-kiego. Podczas lata miał zwyczaj poświęcać kilka tygodni na wędrówki po Europie; utrzymywał, że wtenczas oddawał się zupełnie wypoczynkowi, spore jednak zbiory, jakie przywoził z tych wycieczek, świadczyły co najmniej o manji uczonego, nieumiejącego obojętnie minąć się z żadnem *rara avis.* Przed paru dniami wrócił właśnie z podobnej podróży i teraz oddał się całkowicie uporządkowaniu przywiezionych nabytków. W robocie tej pogrążony był tak bardzo, jakby świat zewnętrzny nie istniał wcale, jakby wszystko, co może być godne uwagi, streszczało się tu, na tem biurku uczonego. Delikatny, ale donośny głos dzwonka w przedpokoju wstrząsnął nim, jak huk gromu. Wyraz niezadowolenia przebiegł mu po twarzy; nie przerwał jednak zajęcia, owszem głębiej jeszcze zastanowił się nad urwaną nagle nicią swej myśli. Po chwili odezwało się lekkie pukanie do drzwi; nie odwracając głowy, półgłosem wymówił: proszę wejść!

Stąpanie tak ciche, że ledwo dało się słyszeć, doszło do środka pokoju i zamilkło. Cisza wróciła znowu, rytmem zegara tylko przerywana. Nagłe zaniepokojenie ogarnęło piszącego. Kto to być może? Obejrzał się za siebie i nagle, rzucając pióro, wstał z fotelu.

Na środku pokoju stała wysoka, szczupła postać młodej dziewczyny. Z pod ocieniającego ronda kapelusza błyszczały ciemne, wyraziste oczy i zdawały się szklić łzami; na drobnej, mizernej twarzy błądził uśmiech miły, a zarazem tak smutny i pełen dobroci, że jak czarem pociągał ku sobie. Stała tak, nie ruszając się z miejsca, uśmiechając się ku niemu, aż profesor w paru krokach znalazł się przy niej.

— To pani, panno Juljo, przyszłaś, przyszłaś! — powtarzał, niewiele bacząc na słowa, a patrząc oczami, które zachodziły mgłą rozmarzenia.

Stali tak parę sekund, wzrokiem się witając. Kobieta pierwsza ochłonęła.

— Dowiedziałam się o pańskim powrocie, odnoszę więc robotę.

Podeszła do biurka i złożyła spory zwój papierów, które przyniosła ze sobą.

— Niechże pani usiądzie — ozwał się profesor wesoło, przysuwając jej krzesło i sam zajmując zwykłe swe miejsce. — Dawnośmy się nie widzieli, jakże pani się miewa?

Przy ostatnich słowach oczy jego troskliwie przesunęły się po jej twarzy.

— Mizernie pani wyglądasz; czy całe lato przepędziłaś w mieście?

— Całe — odrzekła z cicha, rumieniąc się lekko pod jego badawczem spojrzeniem, a chcąc zmienić temat, dodała żywo — Niechże pan spojrzy na moją robotę; nie wiem, czy będzie pan z niej zadowolony.

Rozwinęła rękopis.

— Jesteś pani jedyną, umiejącą odczytać moje hieroglify; chociażbyś więc źle skopiowała, zawsze jeszcze będzie dobrze. Ale pani nie umiesz źle pisać.

Ta skromna pochwała zdawała się czynić ją szczęśliwą.

— Przywykłam do pańskiego sposobu pisania i wyrażania myśli — odparła, powstrzymując uśmiech.

— I dopełniasz je pani, jeśli przez nieuwagę gdzie znajdzie się luka — odrzekł, oddając uśmiech za uśmiech. — Gdyby nie współudział pani, nie wiem, czyby mię czytelnicy zrozumieli.

Na to nie odrzekła; zamyśliła się tylko i twarz jej zesmutniała nagle.

— Może przeszkadzam panu? — ozwała się, powstając.

— Dlaczego pani uciekasz? Jeszcze chwilkę — odparł prosząc i ująwszy jej rękę, zmusił, aby znów usiadła.

— Jakże się tu pani powodziło? — spytał troskliwie.

— Jak zwykle! — odparła wymijająco. — A pan gdzie spędził lato?

— Byłem jedynie w Styrji. Urocze tygodnie tam spędziłem. Wałęsałem się po górach, po lasach, mieszkałem w domku, jak gniazdo uczepionym przy urwisku Co za przepyszne miałem widoki, co za królewskie kąpiele w źródle, które kaskadami z gór spadało...

Ożywiał się; widać było, że obrazy te przesuwały mu się przed oczami.

— Czy byłeś pan... sam jeden? — spytała nieśmiało, nieznacznie w oczy mu patrząc.

Cień niesmaku przesunął mu się po twarzy.

— Tak... jeden — odparł niechętnie i zaraz dodał żywiej — I tam też nikogo nie poznałem; z umysłu nie chciałem zawierać żadnych znajomości. Byłem sam tylko, sam z naturą..

Rozmarzenie znowu malowało mu się w oczach. Panna Julja wzrokiem zawisła na jego twarzy.

— Szczęśliwiec z pana! — westchnęła z uśmiechem. — A dużo pan tego przywiozłeś? — dodała, wskazując na otwarte pudło.

— Niewiele, ale dość rzadkie rzeczy.

Wziął skrzynkę na kolana i wyjmując jeden okaz po drugim, wymieniał ich nazwy. Panna Julja pochyliła się również i przez chwil kilka zdawało się, że nic dla nich nie istnieje prócz nomenklatury owadów i ich właściwości. Profesor mówił z takiem ożywieniem i tak swobodnie, jak do osoby, która go w zupełności zrozumieć może. Wreszcie skończył, zwracając się do niej z prośbą.

— Trzeba to będzie poumieszczać właściwie, dołączyć do tamtych zeszłorocznych, wiesz pani? Wszak mi nie odmówisz swej pomocy?

Cień przesunął się po twarzy panny Julji.

— Na nieszczęście, muszę to zrobić.

— Jakto?! — Podniósł głowę i wpatrzył się w nią zdziwiony.

— Bo właśnie wkrótce... — zaczęła i głos jej się urwał. — Przyszłam właśnie oznajmić panu, że wkrótce wyjeżdżam stąd zupełnie — dokończyła jednym tchem.

— Na twarzy profesora zrazu wybiło się ogromne zdziwienie, potem przemknęła bladość chwilowa. Wstał z krzesła i bezwiednie trzymając skrzynkę w obu rękach, oparł się o brzeg biurka. Milczał; widać było, że na razie myśli zebrać nie może.

— Wyjeżdżasz pani? — powtórzył wreszcie głosem bez dźwięku. Czy mogę wiedzieć, co tak nagle panią zdecydowało?

Ona też powstała; obie dłonie wsparła na biurku i pochyliwszy lekko głowę, wpatrywała się w rysunek rozpostartego pod nogami kobierca.

Patrzał na nią rozmarzonemi oczami, a rysy ściągnęły się mu wyrazem dotkliwego smutku.

— Dlaczego? — spytał tonem wyrzutu, gdy ona wciąż milczała.

Podniosła na niego promienne, myślące oczy; malowało się w nich niezłomne postanowienie.

— Wyjeżdżam do wuja do W. On mi tam obiecał wykołatać posadę na kolei.

— Co panią do tego skłoniło? — spytał, lekko brwi ściągając.

— Praktyczność. Taka stała posada zawsze więcej warta od przypadkowych lekcji lub innych zajęć.

A widząc, że to ostatnie niemile go dotknęło, dodała szybko:

— Muszę w tym roku oddać brata do szkół; wuj życzy sobie, aby tam był, pod jego okiem, a rozłączać się z nim nie chcę.

Patrzył na nią w milczeniu.

— A nasze zbiory? A moje rękopisy? — spytał miękko, głos nieco zniżając. — Zginę tu bez pani...

Na bladą twarz jej wybiła łuna jasności, oczy zapaliły się promieniami. Opanowała się jednak i siląc się na żart, odparła:

— Znajdziesz pan kogoś lepszego, czy to trudno?

Zamiast odpowiedzi, położył delikatnie dłoń swą na jej rękach i pochylając głowę, blizko a głęboko w twarz jej spojrzał.

— Zostań pani...

Prośba, żal, skarga dźwięczały w tym miękim, pieszczotliwym półszepcie.

(D. c. n.) *W. Dal.*

KAROLINA ŚWIETLA.

Obrazki z gór.

I. POCAŁUNEK.

(Ciąg dalszy.)

Zbłądziła, zaiste, Vendulka, odpowiadając mu w tak cierpki sposób, ale zbłądził niemniej i Łukasz, gdy, chcąc się nad nią zemścić, przyleciał z gospody do domu na czele całej bandy muzykantów i kazał im wygrywać pod jej oknami wesołe piosenki, jedną po drugiej. Ale niechby tam już sobie byli muzykanci, niechby sobie grali, gdy jemu się tak podobało i on im za to płacił; ale oprócz nich przyprowadził Łukasz trzy dziewuchy — samo się przez się rozumie, że nie należały one do najuczciwszych, takie bowiem nie poszłyby, wiedząc, że jest już z inną po słowie — i puścił się z niemi w tak ochoczy taniec, że aż ziemia dudniała.

W ślad za nimi nadbiegł liczny tłum ciekawych i nikt chyba nie pozostał w domu, słysząc niezwykły hałas i wrzaski. Żartowali, naturalnie, ludzie z awantur, jakie wyprawia pan młody, domyślając się, co mogło zajść między nim, a panną młodą? Przez otwarte okna, których zamknąć nie śmiała, aby nie zobaczono jej z zewnątrz, słyszała Vendulka każde ich słowo i serce zamierało jej w piersiach ze wstydu, gniewu i bólu. Nie, takiej hańby znieść nie może, a nawet niepowinna! Łukasz chce widocznie zrobić z niej — za wszystko, co dlań przecierpiała — pośmiewisko dla gawiedzi!

Jak tylko hałaśliwa banda odstąpiła od okien, śmiech i krzyk się uciszył, ludzie rozbiegli, a na dworze zapadł zmrok, wyskoczyła z kącika, w którym kryła się zawstydzona, pozbierała swoje rzeczy, zwinęła je w tobołek i pochyliła się nad kolebką, do której przystąpiła z tak szczerem sercem w pamiętny ów wieczór, gdy przyszła gospodarować w domu Łukasza.

— Muszę stąd odejść, bo zbyt szanowałam pamięć twej matki — szeptała, całując uśpione dziecię i oblewając je gorącemi łzami — możesz jej to powtórzyć, gdy przyjdzie cię odwiedzić. Chciałam się wywdzięczyć niebodze za to, że zrobiła mi tu miejsce, abym była szczęśliwa — piękne to było szczęście, które tu na mnie czekało! Uciekam od niego z takim pośpiechem, jak szalenie dawniej za niem goniłam! Oby ta, która po mnie tu przyjdzie, tak szczere, jak ja, miała dla ciebie serce, biedna sierotko, ale biada ci, biada, jeżeli to będzie jedna z tych, z któremi dziś pod oknami dokazywał!

Zbudziwszy następnie jedną ze służących, dobrą, wierną dziewczynę, oddała jej wszystkie klucze i polecała gorąco troskliwej jej opiece dziecko, szczegółowe dając wskazówki, czem je ma karmić i jak się z niem obchodzić.

— Dokąd-że to tak odchodzicie nocną porą i dla czego tak do mnie mówicie, jak gdybyście nie mieli tu już nigdy wrócić? — pytała zdziwiona dziewczyna.

— Bo też nigdy już tu nie wrócę — odparła głucho Vendulka — idę stąd prosto do miasta na służbę.

Dawno już była za progiem, gdy służąca, przyszedłszy do siebie z osłupienia, wybiegła, aby ją zatrzymać, odciągając od powziętego zamiaru. Ale Vendulce tak było śpieszno uciec jak najrychlej z domu Łukasza, że płaczące dziewczę nie usłyszało już nawet odgłosu jej kroków i nie widziało, w której zniknęła stronie.

VII.

Marcinowa zerwała się z posłania, spojrzała, świecąc sobie zapalonem łuczywem, na zegar i przeraziła się, widząc, że jedenasta dochodzi. O tym czasie miała być w lesie, ale z wieczora strzykanie w rękach i nogach nie dało jej długo zasnąć i dla tego nie zbudziła się w porę.

Dałaby dziś chętnie srebrną dwudziestocentówkę, aby się tylko wywczasować, jak należy, ale nie było na to rady: czekali na nią, musiała iść. I coby powiedział stary Mateusz, gdyby się nie zgłosiła po towar? Wspominał jej coś o sztuczkach jedwabnej materji, a tych przecie nie mógł ukryć w zaroślach ani zakopać w ziemię, jak

również nie mógł i sam zanieść, gdzie należało. Znali go, niby zły szeląg, wszyscy strażnicy nadgraniczni i żandarmi, nie byłby nigdzie przeszedł z tłomokiem.

Ach, nie miała już tak żwawych do chodzenia nóg, jak dawniej! stare kości domagały się gwałtownie wypoczynku i jakiej takiej wygody! Na szczęście uskładała sobie trochę grosiwa w przewidywaniu złych czasów, nie potrzebowała więc tak bardzo lękać się starości ani niedołęztwa. Gdyby jednak nawinęła się jej pod rękę jaka godna zaufania pomocnica, którąby ją mogła w potrzebie — jak dziś naprzykład — zastąpić, nie myślałaby jeszcze o odpoczynku, obawiając się nudy, jaką rodzi bezczynność. Ale gdzie znaleźć taką osobę? Dzisiejsze kobiety nie lubią trudnej pracy. Obawiają się gorąca, jak gdyby były z kądzieli i mogły się zapalić, a deszczu unikają, jakby były z soli. Dokąd tylko poszła, wypytywała ludzi, czy nie wiedzieli o jakiej silnej, umiejącej milczeć, wiernej dziewczynie lub wdowie, którejby było wszystko jedno dzień czy noc na dworze, wiatr czy zamieć, mróz czy burza, ale nikt o takiej nie słyszał.

Vendulka Palucka także powątpiewająco ścisnęła ramionami, gdy będąc u niej z zapowiedzią swatów Łukasza, wspomniała o swoich poszukiwaniach. »Chodzić z przemytnikami to nie drobnostka — mówiła — na to potrzeba nietylko wyjątkowego zdrowia, ale i wyjątkowej odwagi, którą posiada zaledwie jedna na sto«. Od tego też czasu Marcinowa, która przywykła wierzyć na słowo Vendulce, sama powątpiewać zaczęła w skuteczność swych zabiegów. Była ona siostrą jej matki, a po śmierci tej ostatniej mała sierotka uciekła do ciotki i przez lat kilka nie chciała wracać do domu, już to z żałości, już to dla tego, że jej się nie podobało u ojca, który chciał, aby wiecznie panowała dokoła niego uroczysta cisza, za grzech uważając każdy wybuch wesołości lub głośniejsze słowo.

Od tego czasu uważała Vendulkę jakby za własne dziecko, a nawet córki wyrzucały jej nieraz, że siostrzenicę bardziej od nich miłuje. Łukasz wiedział wybornie o wzajemnem przywiązaniu obu kobiet, Marcinową też, a nie żadną inną ciotkę, wybrał sobie na posła do Vendulki, będąc przekonany, że tem sprawi dziewczynie największą przyjemność.

W rzemiośle swem nie widziała Marcinowa nic zdrożnego, a tak jak ona, myślą niemal wszyscy u nas w górach. W teraźniejszych czasach przemytnictwo niewiele przynosi, ale temu lat trzydzieści można jeszcze było na nim zarobić piękny grosz i dla tego poświęcali się mu nietylko biedacy, którzy nie wiedzą, gdzie głowę przytulić, lecz i bogaci gospodarze, co pragnęli tym sposobem do większej jeszcze dójść zamożności. Uważali oni szwarcownictwo za równie dobry, chociaż niedozwolony jawnie, zarobek, jak każdy inny, myśląc, że posiadający tyle koron i krajów cesarz nie wielką będzie miał stąd krzywdę, jeżeli ktoś tam od czasu do czasu przeniesie bez opłaty przez granicę jakiś pakunek, z którego towar rozprzeda w jego państwie. Z pewnością ani dostrzeże nawet braku tych kilku krajcarów cła, a one tymczasem nie jednego już postawiły na nogi.

Marcinowa znała się zresztą oddawna z przemytnikami, których jej mąż nieboszczyk często u siebie przechowywał. Nadawał się do tego wybornie jego dom, położony o pół godziny drogi od wsi, na odludziu, w zaroślach. Gdy Marcin umarł, zaproponowali przez wdzięczność przemytnicy pozostałej po nim wdowie, aby z nimi »chodziła«. Znaczyło to w ich języku, że ma na nich oczekiwać nocną porą na umówionem miejscu w lesie, który ciągnął się od granicy saskiej do Jesztedu, i odebrawszy tam od nich część przeszwarcowanego towaru, odnosić wskazanej osobie, która wysyłała pakunki przez zaufanych ludzi dalej, niekiedy aż do Pragi. Marcinowa przyjęła z radością propozycję, a chodząc z nimi przez długie lata, zarabiała dostatecznie na utrzymanie dla siebie i pięciorga dzieci. Teraz wyzbyła się ich wszystkich z domu, znalazłszy dla każdego wyborne umieszczenie, a nadto zaoszczędziła coś-niecoś i dla siebie. Przy jakiem innem zajęciu mogłaby tego dokazać?

Mieli przemytnicy kilka takich pomocnic, a każda w inną odnosiła stronę przemycone towary, z żadnej wszelako nie byli tak zadowoleni, jak z Marcinowej. Naczelnik ich, stary Mateusz, który trudnił się przemytnictwem wraz z pięciu synami, mawiał nieraz, że gdyby Marcinowa przestała z nimi chodzić, toby i on machnął ręką na wszystko, tyle przykrości i zmartwienia sprawiały mu jej towarzyszki. Co chwila robiły coś, czego robić nie należało: to któraś zgubiła część powierzonych sobie rzeczy, to znowu u innej ulegały one uszkodzeniu wskutek złego opakowania, a jeszcze inna całkiem niepotrzebnie kosz swój zatraciła w obawie nieistniejącej pogoni. Więcej, naprawdę, szkody, niż pożytku przynosiła ich pomoc. I cóż dziwnego, że stary Mateusz zrzędził? Nie miał już tej cierpliwości, jaką się odznaczał, rozpoczynając swoje rzemiosło, a nawet mieć jej nie potrzebował. Pamiętał i on — podobnie jak Marcinowa — o starych latach i jeżeli trudnił się dotąd przemytnictwem, to jedynie z przyzwyczajenia tudzież dla rozrywki. Był wdowcem, wszystkich pięciu synów miał ożenionych, z kimżeby więc w domu przesiadywał, z kim dla zabicia czasu gawędził przy kominie? Wolał już tłuc się po świecie.

Stara Marcinowa potrafiła zawsze tak zręcznie naszykować i osłonić swój kosz, że strażnikom, z którymi się spotykała nieraz szarym rankiem w lesie, ani do głowy nie przychodziło przetrząsać go dla przekonania się, czy zawiera naprawdę same tylko jaja, jabłka lub inne produkty wiejskie, którymi przykrywała z wierzchu

szwarcunek, — czy też i kosztowniejsze jakie przedmioty. Umiała przybrać minę tak dobroduszną, pozdrawiała ich głosem tak uprzejmym, przesuwając w palcach różaniec, że brali ją za mleczarkę lub owocarkę, która śpieszy o świtaniu najkrótszemi drożynami do sąsiedniego miasteczka, aby wyprzedzić współzawodniczki i wcześniej od nich dobić targu. Gdy jednak którykolwiek z nich przystanął kiedy, mierząc ją podejrzliwym wzrokiem, przystawała wnet i ona, zapytując, czy chce jej zrobić początek? Ba, zdarzyło się nawet kilkakrotnie, że śmiało sprzedawała im na żądanie gruszki i czereśnie ze swego kosza, oni jednak niczego się nie domacali. I jakże nie miał jej wychwalać stary Mateusz, jak nie miał utrzymywać, że takie kobiety już się teraz nie rodzą i że ona jest ostatnią z tych, które były czegoś warte?

Tłumacz. z czeskiego

C. d. n. *M. W.*

Nauczyciel ludowy we Francji.

I.

W obecnej chwili, kiedy sprawa nauczycieli ludowych jest na porządku prac prawodawczych Galicji, a oświata ludowa, coraz wszechstronniej i głębiej przez społeczeństwo rozumiana, staje się niejako przykazaniem głównem programu naszej działalności publicznej, — może nie bez korzyści dla ogółu będzie notatka poniższa, z dziejów oświaty we Francji zaczerpnięta.

Często bardzo spotkać się można z ogólnikami o »wysokiej kulturze« zagranicznej: francuskiej, niemieckiej, angielskiej. Szumne frazesy i wielkie cyfry statystyki, przytaczane na świadectwo kultury owej, szczepią w nas może częściej pewne zniechęcenie i jałowe poczucie niższości, niż żądzę czynu i dorównania silniejszym w nierównym wyścigu. Jeżeli jednak od tych martwych, tryumfalnych frazesów przejdziemy do życia wyższych i silnych społeczeństw, to w przebiegu powstawania niejednej, dziś świetnie rozwiniętej instytucji, znajdziemy te same nędze, te same biedy i troski, które i nas ścigają. Wówczas zamiast galowej maski »kultury« zobaczymy społeczeństwo owe przy samej pracy, równie mozolnej nieraz jak u nas. Ten widok więcej wart dla ciężko pracujących nad własną biedą, niż owa oklepana gadka o samych tryumfach, niż owe statystyczno-wystawowe obrazy kultury europejskiej.

Mimo pięknej cyfry 195 miljonów franków w budżecie tegorocznym oświaty publicznej we Francji, mimo niezaprzeczenie wspaniałych instytucji, któremi się dziś Francja poszczycić na tem polu może — tu właśnie i w tej dziedzinie toczono walki, łatano dziury i pracowano na ochotnika bardzo niedawno — temu lat 30. Nie mówię tu o walkach politycznych o szkołę wyznaniową lub bezwyznaniową, ani o zatargach co do programu »moralności republikańskiej« w szkółce ludowej, mówię o takich zasadniczych, dobrze nam znanych kwestjach, jak kwestja analfabetów, jak brak szkół w gminach, brak nauczycieli i t. p.

Przed laty trzydziestu jeszcze liczyła Francja nie mało okolic, gdzie liczba analfabetów dosięgała połowy ludności; przed laty dwudziestu jeszcze różnica między Francją a Niemcami była tak wielką, pod tym względem, że okrzyk: *C'est l'université de Berlin, qui a triomphé à Sadowa* zastępowano w szerokich warstwach z całą słusznością zdaniem, że to właściwie nauczyciel ludowy niemiecki przemienił te tłumy, niedawno dość barbarzyńskie, na ożywione duchem narodowym zwycięzkie zastępy. W tym bardzo rozpowszechnionym we Francji ówczesnej poglądzie tkwiło zbyt dużo prawdy i przestrogi, ażeby działalność państwa i dobrowolne wysiłki społeczeństwa nie oparły się na nim w wielkiej agitacji na korzyść oświaty ludowej, jaką przeprowadziła trzecia respublika.

Istotnie: w dziejach nauczyciela ludowego we Francji streściło się tyle ważnych czynników rozwoju jej oświaty, że, przeglądając pierwsze, poznajemy zarazem etapy tej ostatniej. Sto lat trwały skargi i wyrzekania społeczeństwa nad losem swych pierwszych przewodników. Od czasów pierwszych pęknięć gmachu »starego porządku«, od połowy XVIII. w. do ostatniej klęski 1870 r., która zdegradowała Francję, rozlegają się biadania ich samych, nauczycieli ludowych. I — rzecz ciekawa — ile razy Francja wstępowała na drogę rzetelnej naprawy społecznej — skargi te ucichają, bo czy to rządy Ludwika Filipa i Guizota, czy Napoleona III. i Duruy'ego, czy wreszcie rządy trzeciej respubliki i Ferry'ego* zawsze łączyły najdoskonalsze swe prace państwowe z kwestją oświaty. a oświatę z podniesieniem moralnym i materjalnym klasy nauczycieli ludowych.

Ten związek dziś wydaje się nam tak bardzo naturalnym i koniecznym, że trudno uwierzyć, żeby go ktoś nie rozumiał, a rozumiejąc, nie dołożył wszelkich starań do unormowania stosunku. A jednak: »łatwiej było w owych czasach (1789) o jednomyślność przy wzniesieniu wspaniałej Akademji, niż przy założeniu małej szkółki ludowej« *. I mimo nawału pięknych kon-

---

* Guizot w r. 1833, Duruy w r. 1865—1867 i Feray w r. 1880—1886 na stanowisku ministrów oświaty publicznej zainspirowali lub przeprowadzili najdonioślejsze reformy.

* *Buisson Dictionnaire de Pédagogie A. Rambaud. art. France.* str. *1054.*

cepcji o oświacie narodowej i demokratycznej, mimo działalności teoretycznej i prawodawczej takich mężów jak Condorcet, Sièyis, Talleyrand i t. p. Pierwsza respublika nie stworzyła nauczyciela ludowego.

Położenie nauczyciela ludowego w XVIII. wieku było dziwną mięszaniną poniżenia w życiu i podniosłości w teorji. Nie trzeba szukać na to świadectw w dziełach pogromców »starego porządku«: memorjały kleru i szlachty, podawane w r. 1789 do Stanów, pełne są najwymowniejszych danych w tym względzie. Oto n. p. stosy skarg, załączonych do tych memorjałów a podpisanych zbiorowo przez nauczycieli różnych okolic: »Wejrzyj, Najmiłościwszy Panie, na naszą nędzę i poniżenie i nie pozwól, ażebyśmy w niej dłużej trwali — my, którzy jesteśmy przecież pierwszymi przewodnikami dzieci Francji«. Uposażenie nauczyciela ludowego w XVIII. w. składa się z datków kościoła, datków gminy i datków rodziców uczni. Ażeby pobierać pierwsze musi nauczyciel pełnić służbę zakrystjana; ażeby być pewnym drugiego musi nieraz zastąpić pisarza gminnego; trzecie wreszcie przynosi niewiele dla tej prostej przyczyny, że rodzice dzieci swych do szkółki nie posyłają. Gmina znów wynagradza nauczyciela najczęściej w naturze, każąc mu co dzień w innej chałupie jeść objad. »Nauczyciel jest zawsze uważany w gminie za przybłędę i nie ma prawa być obecnym na jej zebraniach«. Dla oszczędności gmina układa się często z maire'em, który pełni obowiązki nauczyciela tytularnie, a za to zadawalnia się małą sumką. Ksiądz, zajęty swoimi sprawami, jeśli uczy, to głównie katechizmu i wybierając kilku zdatniejszych dla siebie chłopców. Po zatem wreszcie na stanowisku nauczyciela widzimy często szynkarza, wędrownego organisty lub »chirurga od brody«.

Poziom też tych ludzi jest całkiem odpowiedni ich uposażeniu: głównie »ćwiczą« dzieci, czasem zaś ćwiczą ich pamięć przez wkuwanie »ztąd — dotąd« po za tem nie robą nic. »Pewna nauczycielka nie chciała uczyć dzieci pisać, aby nie pisały listów miłośnych«.*

Można powiedzieć, że pierwszy krok, skierowany ku podniesieniu poziomu »mistrza od abecadła«, zrobionym został przez kościół. Kościół wywyższył go w opinji parafji, robiąc go nieraz sekretarzem proboszcza. Ale samo połączenie czynności znowu źle wpływało na sprawność nauczycieli we właściwych czynnościach. Zresztą żadna szkoła nie troszczyła się o przygotowywanie wykwalifikowanych nauczycieli, a społeczeństwo, choć odczuwało ich potrzebę, nie mogło jej zaradzić. Teoretycznie najwyżej postawili stanowisko nauczyciela ideologowie konwencji, uważając go za »pierwszego przewodnika ludności«, a szkołę ludową podnosząc do znaczenia »powszechnej instytucji narodowej«. Z tego też okresu datują się najboleśniejsze skargi nielicznych zresztą nauczycieli, którzy odczuwali całą przepaść między tą teorją a rzeczywistością.

Państwo jednak nie mogło podołać budżetowi i artykuły o szkole ludowej obowiązkowej w każdej gminie o 400 mieszkańcach« przebrzmiewały bezskutecznie. Ciężar opłacania nauczyciela zwalono wreszcie na gminy; widzieliśmy, jak gminy ten obowiązek pojmowały. Żadna inna siła w społeczeństwie nie mogła w epoce zamętu podołać zadaniu i tak przeszła ta sprawa na porządek robót XIX. wieku. Nie śmiem obarczać notatki obecnej zbytkiem cyfr i cytat, muszę jednak przytoczyć najcharakterystyczniejsze. Po epoce całkowitego zaniedbania z czasów Napoleona, szkoła ludowa przedstawiała obraz niemniej rozpaczliwy, jak w XVIII. wieku: $^3/_4$ ludności nie czyta i nie pisze jeszcze w latach 1820—1830, co do których osiągnięto dziś dane pewniejsze. Budżet zaś państwa na oświatę elementarną od roku 1818 do 1829 wynosi przeciętnie $45^1/_2$ tysięcy franków rocznie t. j. tyle, ile kosztuje utrzymanie jakiegoś jednego zakładu naukowego.* Stanowisko Napoleona do szkoły, które tak świetnie scharakteryzował w ostatniej swej pracy Taine *(Le Regime moderne. T. II. L'Ecole)*, wykluczało z planów szkołę ludową. Następcy jego często też powracali do tego stanowiska.

Tak więc z bardzo słabemi zmianami położenie nauczyciela ludowego w pierwszej ćwierci XIX. w. pozostaje takiem, jak je przekazał wiek XVIII. Jest to nieliczna zresztą klasa ludzi, żyjących na łasce i niełasce wsi lub miasteczka, nieuzdolnionych do pełnienia swych obowiązków, lecz często rozumiejąca już swe znaczenie w społeczeństwio i stąd rozgoryczona.

PRO MEMORIA.

27. marca 1818. Został otwarty w Warszawie pierwszy sejm Królestwa Kongresowego. Trwał on miesiąc.

31. marca 1831. Gen. Rybiński uderzył na 6-tysięczny oddział Geismara, stojący pod Wawrem (wieś w pobliżu Warszawy), a rozproszywszy nieprzyjaciela, zabrał 2 tysiące niewolnika i 4 działa. W świetnym tym boju Polacy stracili zaledwie 17 żołnierzy i mieli 38 rannych.

1. kwietnia 1830. Bitwa pod Wielkim Dębem. Polacy odnoszą zwycięstwo, zdobywają kilka armat i wielu jeńców. Odznacza się najbardziej bohaterski pułk 4 ty.

* Fakty i dane powyższe czerpię z wymienionego wyżej Buisson'a, oraz z dzieła Alb. Duruy'ego p. t. *L'Instruction publique et la Révolution.*

* *Ministere d'Instr. publi: Statistique d'enseignement primaire.* T. II. 1829—1877 r.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.